

## ŻYCIE STUDENTÓW

WALTER BENJAMIN

PRZEŁOŻYŁ: JĘDRZEJ BRZEZIŃSKI

**Abstrakt:** Niniejszy esej pochodzący z 1915 roku można czytać jako podsumowanie twórczości z okresu młodości Waltera Benjamina spędzonej w Berlinie i Fryburgu. Przyjmując perspektywę zarazem metafizyczną, jak i historyczną autor podejmuje w nim kwestię nędzy życia studenckiego i uniwersytetu w społeczeństwie burżuazyjnym. Przedmiotem krytyki stają się w nim alienujące funkcje szkolnictwa w postaci wymogów profesjonalizacji i coraz ściślejszego podziału naukowych kompetencji, w których dezintegracji ulega idea jedności wiedzy.

**Słowa kluczowe:** uniwersytet, student jako wytwórca, społeczeństwo burżuazyjne, aktywizm

Istnieje takie ujęcie historii, które, ufne w nieskończoność czasu, rozróżnia jedynie tempo, z jakim ludzie i epoki szybciej lub wolniej posuwają się naprzód po jezdni postępu. Ujęciu temu odpowiada brak spójności, niedostatek precyzji i rozprężenie wymogów stawianych terażniejszości. Poniższe spostrzeżenia mierzą raczej w punkt, w którym – niczym w odwiecznych, utopijnych obrazach myślicieli – historia ogniskuje się jak w soczewce. Elementy tego stanu docelowego nie jawią się tu w formie bezkształtnych postępowych tendencji, ale tkwią głęboko w łonie każdej terażniejszości, jako jej najbardziej zagrożone, krytykowane i wyśmiewane wytwory czy idee. Uwidocznić i uczynić panującym stan doskonałości, który terażniejszości tej jest immanentny, podnieść go do rangi absolutu – oto historyczne zadanie. Stan ten nie pozwala się jednak przybliżyć za pomocą pragmatycznego opisu szczegółów (instytucji, obyczajów, itd.), przeciwnie – całkiem się mu wymyka, dając się ująć jedynie w swej metafizycznej strukturze, tak jak królestwo mesjańskie czy idea Rewolucji Francuskiej. Historyczne znaczenie studentów i szkół wyższych oraz stan ich terażniejszej egzystencji można więc dziś opisać jedynie w formie przypowieści, obrazu, który odzwierciedlałby najwyższy, metafizyczny status historii. Tylko w ten sposób jej opis staje się zrozumiały i możliwy. Nie jest on jednak żadnym wezwaniem czy manifestem – te zawsze okazują się nieskuteczne. Uwidacznia on raczej kryzys, tkwiący w samej istocie rzeczy i prowadzący do rozstrzygnięcia, któremu podlegają tchórzliwi i podporządkowują się śmiali. Jediną metodą zdania sprawy z historycznego znaczenia studentstwa i szkolnictwa wyższego jest system. Póki wszystkie środki po temu zawodzą, wyłącznym zadaniem, które pozostaje, jest zadanie rozpoznania i wyzwolenia z aktualnej, wypaczonej formy tego, co przyszłe. Temu tylko służy krytyka.

Pytanie, które dotyczy życia studentów, jest pytaniem o jego świadomą jedność. Pytanie to poprzedza wszystko inne, gdyż w studenckim życiu nie należy rozróżniać problemów – nauki, państwa, cnoty – gdy brak gotowości, by się w ogóle podporządkować. Studenckie życie odznacza się tak naprawdę czymś przeciwnym – właśnie wolą, by nie podporządkować się zasadzie i nie pogrążyć się w idei. Pojęcie nauki nadaje się świetnie do tego, by zaslaniać głęboko zakorzenioną, mieszczańską obojętność. Ocena studenckiego życia w świetle idei nauki nie oznacza jednak – jak ktoś mógłby się obawiać – panlogizmu czy intelektualizmu; przeciwnie – tylko z takiej oceny wynikać może uprawniona krytyka, skoro to nauka stanowi rzekomo żelazną osłonę, chroniącą studentów przed „obcymi” roszczeniami. Będziemy więc pytać o wewnętrzną jedność tego życia, zamiast poddawać je krytyce z zewnątrz. Odpowiedź sugeruje już wstępne rozpoznanie, że dla olbrzymiej większości studentów nauka nie jest niczym więcej niż powołaniem do zawodu. A ponieważ „nauka nie ma nic wspólnego z życiem”, to wyłącznie ona sama kształtować musi życie tych, którzy się jej oddają. Do niewinnie zakłamanych przesądów, jakie żywią ludzie na temat nauki, należy także i ten, że studiującego ją X-a lub Y-a powoła do jakiegoś zawodu. Zawód jednak rzadko okazuje się

następstwem nauki i nieraz wydaje się ona nawet go wykluczać. Nauka nie pozwala bowiem na żadne rozluźnienie w stosunku do tego, co jest jej istotą – dlatego zobowiązuje ona studiujących jedynie do tego, by w jakiś sposób zajęli pozycję nauczycieli, nigdy zaś do obrania uznanych przez państwo zawodów lekarza, prawnika czy profesora. Do niczego dobrego nie prowadzi sytuacja, w której instytucje nadające tytuły i uprawnienia, gwarantujące możliwość zdobycia zawodu i zarobku na życie, nazywa się przybytkami nauki. Obiekcja, zgodnie z którą nie ma innej drogi, aby dzisiejsze państwo pozyskiwało swoich lekarzy, prawników i nauczycieli, nie jest tu zasadna. Wskazuje ona tylko, jak ogromne zadanie do wykonania stoi przed tymi, którzy pragną społeczeństwa opartego na wspólnocie poznających, a nie korporacji urzędników i kursantów. Wskazuje ona tylko, do jakiego stopnia dzisiejsze nauki, na drodze postępującej profesjonalizacji zawodowej (w oparciu o wiedzę i umiejętności), oddaliły się od swego wspólnego źródła, którym jest idea wiedzy: stała się ona dla nich tajemnicą, jeśli nie zwykłą fikcją. Kto bezkrytycznie uznaje dzisiejsze państwo w jego zastanej formie i przyjmuje wszystko, co służyć ma jego rozwojowi, ten odrzucić musi naszą krytykę. Niech jednak lepiej nie śmie prosić tego państwa o protekcję i wsparcie dla „nauki”. Zmowa szkolnictwa wyższego z państwem, choć zupełnie nie wyklucza się z nieklamany barbarzyństwem, nie jest jeszcze znakiem najgorszego zepsucia. Tym okazują się dopiero pouczenia tych, którzy rozprawiając o wolności nauki, oczekują od niej, na mocy brutalnej oczywistości, że wprowadzi młodych ludzi do hołdującego indywidualizmowi społeczeństwa i przygotowuje ich do służby państwu. Tolerancja wobec bardziej wolnościowych poglądów i bardziej wolnościowego nauczania nie jest jeszcze niczym sprzyjającym, dopóki niedozwolone jest życie, jakie niosą ze sobą owe poglądy, i to także te najsurowsze, a istnieniu oddzielającej je olbrzymiej przepaści zaprzecza się samym tylko naiwnym wskazaniem związku, który łączy szkolnictwo wyższe i państwo. Nieporozumieniem byłoby więc stawiać wobec jednostek wymagania, jeśli ich spełnienie neguje ducha, który jednostki te łączy. Godne uwagi, a wręcz zdumiewające, jest tu być może tylko to, do jakiego stopnia w kolegiach szkolnictwa wyższego nauczyciele i studenci mijają się, nie zauważając jedni drugich, niczym w przeogromnej grze w chowanego. Studenci, jako niezatrudnieni, stoją w hierarchii niżej niż nauczyciele, a prawomocnym fundamentem uniwersytetu, ucieleśnionym w osobie ministra edukacji (wyznaczanego przez suwerena, a nie przez uniwersytet) okazuje się być ledwie tylko skrywany sojusz uczelnianych władz z organami państwa, zawiązywany ponad głowami uczniów (i w rzadkich, szczęśliwych przypadkach, także ponad głowami nauczycieli).

Bezkrytyczne i pozbawione oporu poddanie się temu stanowi rzeczy charakteryzuje istotę studenckiego życia. To prawda, że tak zwane wolne związki studenckie czy inne społecznie zorientowane organizacje podjęły próbę poprawy tej sytuacji. Ich starania okazały się jednak tylko kolejnym krokiem na drodze do całkowitego podporządkowania uniwersytetu burżuazji i nigdzie indziej nie można było wyraźniej dostrzec tego, że dzisiejsi studenci, jako

wspólnota, w ogóle nie są zdolni postawić pytania o rolę nauki w życiu, tak jak nie są w stanie zorganizować zdecydowanego protestu przeciw panującym aktualnie warunkom życia zawodowego. Krytyka „wolnostudenckich” i im pokrewnych idei jest więc niezbędna dlatego, że w sposób nadzwyczaj wyraźny rozjaśnia ona chaotyczne wyobrażenie, jakie żywią studenci na temat naukowego życia. W tym celu przytoczmy słowa, które autor tego tekstu skierował do studiującej młodzieży, z myślą, że mogą one okazać się odnawiającym impulsem. „Istnieje nadzwyczaj proste i pewne kryterium zaświadczone o duchowej wartości danej wspólnoty. Mieści się ono w pytaniu: czy pozwala ona, aby całość podejmowanych przez jednostkę wysiłków znalazła w niej swój wyraz? Czy zaangażowanie w tę wspólnotę włącza człowieka jako całość? Czy nieodzowny jest jej człowiek jako cały? Czy raczej wspólnota ta okazuje się tak samo niepotrzebna każdemu, jak wszyscy niepotrzebni są jej? Bardzo łatwo postawić te pytania, a gdy przyjrzeć się, jaki rodzaj wspólnot zawiązuje się w dzisiejszym społeczeństwie, łatwo też na nie odpowiedzieć – a odpowiedź ta jest decydująca. Każdy, kto służy wspólnocie, mierzy w całość, to w niej tkwi wartość jego wysiłków, to znaczy w tym, że w danej wspólnocie wyrazić się może cała, niepodzielona istota człowieka. Jednak wysiłki podejmowane w służbie dzisiejszemu społeczeństwu, jak można zauważyć, wcale nie ogarniają całości – przeciwnie, są czymś fragmentarycznym i wtórnym. Nierzadko wspólnota okazuje się miejscem, gdzie skrytobójczo eliminowane są wyższe pragnienia i osobiste ambicje jednostek, a gdzie rozwój głębszych, wrodzonych inklinacji zostaje zablokowany. Społeczne obowiązki przeciętnego obywatela nie służą w większości przypadków niczemu innemu, jak wypaczeniu źródłowych, zasadniczych starań człowieka, płynących z jego wewnętrzności. Mowa tu o akademikach – ludziach, których zawód sprawia, że w pewien wewnętrzny sposób pozostają oni związani z duchowymi walkami studiujących, z ich sceptycyzmem i krytycyzmem. Ludzie ci przysposabiają sobie całkowicie obce, oddzielone od świata otoczenie i czynią zeń swoje miejsce pracy, oddalone stanowisko jakiejś ograniczonej działalności, której całość sprowadza się do aspiracji, że będzie użyteczną dla pewnej, często abstrakcyjnej, ogólności. Nie występuje tu jednak żadna wewnętrzna, źródłowa więź między duchową egzystencją studiujących a ich zainteresowaniem i troską, choćby o los dzieci robotników czy przynajmniej o innych studentów. Nie ma tu żadnej więzi innej niż pojęcie obowiązku, niezwiązanego zresztą z najbardziej własną pracą studiującego, obowiązku, który opiera się jedynie na mechanicznym stwierdzeniu ekwiwalentu: »z jednej strony – stypendium, za które płaci lud, z drugiej – spełnienie społecznej powinności«. Poczucie obowiązku jest tu wykalkulowane, pochodne i zniekształcone, nie wynika też w żaden sposób z samej pracy. Zaspokojenie tego poczucia nie wymaga wcale cierpienia na drodze odkrywania prawdy, nie wymaga znoszenia wszelkich możliwych wątpliwości nawiedzających badacza, nie wymaga w ogóle żadnej postawy jakkolwiek wynikającej z duchowego życia zobowiązanego. Sprowadza się ono raczej do głupiego i najbardziej powierzchownego dualizmu, w którym idealne przeciwstawia się

materialnemu, a teoretycznemu praktycznemu. Każda »społeczna« praca jest więc jedynie paniczną reakcją duchowego życia, a nigdy jego etycznym wzmocnieniem. Najbardziej głębokim i zasadnym zarzutem nie jest jednak to, że wszelka społeczna praca pozostaje bez związku, czy wręcz w abstrakcyjny sposób przeciwstawiona zostaje właściwej pracy studenta, w czym widoczny jest najwyższy wyraz nagannego relatywizmu, który, naraz starannie i strachliwie, każdemu określeniu przypiąć chce jego przeciwieństwo, wszystko, co duchowe doposażyć w to, co fizyczne, ale będąc zupełnie niezdolnym, by wytworzyć jakąkolwiek całościową formę życia. Rozstrzygające jest więc nawet nie to, że wszelka społeczna praca, wzięta jako całość, okazuje się być tylko pustą, ogólnikową użytecznością, ale raczej to, że mimo wszystko domaga się ona gestów miłości tam, gdzie nie ma miejsca na nic poza mechanicznie wykonywanym obowiązkiem. Celem takich roszczeń jest odciążenie studentów od tego, co wynikałoby z obowiązków ich krytycznej egzystencji. Student jest bowiem studentem tak naprawdę dlatego, że problemy życia duchowego bardziej leżą mu na sercu, niż czynności związane z troską o społeczny dobrobyt. Ostatecznie – i jest to decydująca oznaka – z podejmowanych na rzecz społeczeństwa studenckich aktywności nie wynikło jak dotąd żadne przewartościowanie i żadne odnowienie pojęcia społecznej pracy. W powszechnym przekonaniu taka praca pozostaje stale osobliwą mieszaniną spełniania obowiązku i wyświadczenia łaski przez jednostkę. Studenci nie potrafili ustalić swojej duchowej konieczności, nie zdołali więc także ugruntować w niej żadnej rzeczywistej, szczerzej, opartej na podzielanych przekonaniach wspólnoty, a jedynie wspólnotę obowiązku i interesu. Ten tolstojowski duch, który bezkresną przepaścią oddziela egzystencję mieszczanina i proletariusza, myśli, że pomoc biednym to zadanie dla całej ludzkości, a nie studenckie zajęcie pozalekcyjne, wymagają tu, i to *właśnie tutaj*, albo pełnego zaangażowania, albo niczego w ogóle. Duch ten, który dojrzał w koncepcjach radykalnych anarchistów i w chrześcijańskich wspólnotach zakonnych, rzeczywisty duch nieklamanej pracy społecznej, który nie potrzebował uciekać się do dziecinnych prób »wczucia się« w robotniczą czy ludową duszę, nie zdołał ukształtować się w społecznościach studenckich. Wola i starania, by wspólnotę akademicką zorganizować we wspólnotę społecznej pracy, rozplynęły się w pozbawionej przedmiotu abstrakcji. Jako całość wola ta, podobnie jak ci, którzy ją żywią, nie znalazła żadnego wyrazu, gdyż w owej wspólnocie całość nie mogła być przedmiotem woli.

Symptomatyczne znaczenie tych wolnostudenckich przedsięwzięć, czy to w wersji chrześcijańsko-socjalistycznej, czy w jakiegokolwiek innej, jest takie, że konflikt między państwem a uniwersytetem, na który wskazaliśmy, odtwarzają one, w interesie życiowej lub państwowej użyteczności, wewnątrz samego uniwersytetu, niczym w swoistym mikrokosmosie. Uczyniły one z uniwersytetu przystań otwartą dla wszystkich możliwych egoizmów i altruizmów, dla wszelkich oczywistych form życia, i tylko radykalne wątplenie, gruntowna krytyka, oraz to, co najważniejsze – życie, które poszukuje możliwości swojej odbudowy, okazują się

tam niemożliwe. To, co się tu jawi, to wcale nie przeciwstawienie progresywnej woli niezależnych studentów reakcyjnej władzy studenckich bractw. Jak wynika z tego, co powiedzieliśmy, i na co wskazują uniformizacja i ugodowość charakteryzujące kondycję uniwersytetu w ogóle, także niezależne związki studenckie bardzo dalekie są od solidnie przemyślanego i gotowego do praktycznego zastosowania programu. W żadnej z kwestii, które wyrazić stara się niniejszy tekst, nie dało się usłyszeć ich rozstrzygającej odpowiedzi. Ich głos, w swym niezdecydowaniu, okazuje się niemy. Ich sprzeciw nie wykracza nigdy poza udeptane ścieżki polityki liberalnej, a ich socjalne pryncypia nie rozwinęły się nigdy ponad poziom liberalnej publicystyki. Niezależni studenci nie zdołali przemyśleć właściwego pytania o znaczenie uniwersytetu i dlatego, zgodnie z gorzkim prawem historii, to członkowie bractw, jako jedyni, którzy problematyki akademickiej wspólnoty doświadczyli na własnej skórze, pojawiają się na oficjalnych uroczystościach, jako niechlubna reprezentacja studenckiej tradycji. Koniec końców niezależni studenci nie wykazują wcale bardziej szczerzej woli czy większej odwagi niż członkowie bractw, a ich oddziaływanie jest niemal bardziej niebezpieczne niż tamtych, bardziej jest bowiem złudne i zwodnicze: ich burżuazyjne, małostkowe i pozbawione dyscypliny usiłowania przedstawia się tu jako walkę o wyzwolenie uniwersyteckiego życia. Dzisiejszych studentów nie znajdziemy tam, gdzie toczą się spory o duchową odnowę narodu, na żadnym polu jego nowej walki o sztukę, nigdy w gronie jego poetów i pisarzy, i nigdy u źródeł jego religijnego życia. „Niemieccy studenci” jako tacy – takie coś nie istnieje. I to nie dlatego, że nie chcą oni dołączyć do najnowszych, najbardziej nowoczesnych prądów, ale dlatego, że w ogóle ignorują istnienie takich prądów, dają się za to ciągnąć na hoku powszechnych mniemań, po najszerszych wodach głównego nurtu i pozwalają wszelkim partiom czy związkom przypocholebiać się sobie jak rozpieszczone dziecko, chwalone przez wszystkich, bo do wszystkich jakoś należące, zupełnie jednak bez szlachetności, która jeszcze sto lat temu wyróżniała studentów i pozwalała rozpoznać w nich adwokatów najlepszego życia.

To przekłamanie twórczego ducha w ducha „zawodowego”, którego oddziaływanie daje się zauważyć wszędzie, opanowało także szkolnictwo wyższe, zupełnie oddzielając je od pozabiurowego, kreatywnego życia duchowego. Wyniosła pogarda wobec niepaństwowych, często wobec państwa wrogich, niezależnych naukowców i artystów jest tego bolesnym i dobitnym symptomem. Jeden ze słynniejszych niemieckich profesorów przemawiał raz ze swej katedry o „tych kawiarnianych literatach, którzy twierdzą, że chrześcijaństwo dawno zostało obalone”. Ton i trafność tego sformułowania doskonale się tu znoszą. Nauka, przez swoją „stosowalność” może jeszcze udawać, że zmierza w tę samą stronę, co państwo; Muzy szkolnictwo wyższe dusi gołymi rękami. Umiejąc wprowadzać studiujących jedynie na zawodową ścieżkę, z konieczności przesłepia ono fakt, że twórcze działanie jest przede wszystkim formą wspólnotowego życia. Tak naprawdę owa wroga obcość szkolnictwa i jego brak zrozumienia dla takiego życia, jakiego wymaga sztuka, wynika z odrzucenia przezeń

wszelkiej niezapośredniczonej twórczości, której nie da się przykroić do rozmiarów urzędniczego biurka. Ta sama ignorancja prześwituje przez uczniactwo i niedojrzałość studentów. Z estetycznego punktu widzenia najbardziej boleśnie uderzająca w obrazie szkolnictwa wyższego jest mechaniczna reakcja audytorium słuchającego wykładowcy. Jedyne autentyczna, akademicka lub sofistyczna, kultura dyskusji mogłaby rekompensować tak niski poziom receptywności. Jednak również seminaria są od niej bardzo dalekie, także i one bowiem przyjmują formę wykładów, niezależnie od tego, czy głos zabiera nauczyciel, czy uczeń. Organizacja szkół wyższych nie opiera się już na produktywności studentów, jak chcieli tego ich dawni założyciele. Myśleli oni o studentach jako w istocie jednocześnie nauczycielach i uczniach; jako nauczycielach, ponieważ produktywność równoznaczna jest z całkowitą niezależnością, dlatego ich wzrok zwracać się miał w stronę samej nauki, a nie wlepić w uczącego. Gdzie jednak naczelną ideą życia studenta jest zawód i urząd, tam w ogóle nie może być mowy o nauce. Nie polega już ona na oddaniu się przedmiotowi poznania, które, wedle powszechnych obaw, zwodzi z utartej ścieżki mieszczańskiego bezpieczeństwa. Oddanie przedmiotowi wiedzy jest tu równie rzadkie, jak poświęcenie życia młodszemu pokoleniu. Powołanie do tego, by uczyć – choć na zasadach zupełnie innych, niż te obowiązujące dzisiaj – jest jednak niezbędne dla właściwego przekazu wiedzy. To ryzykowne oddanie nauce i młodzieży wymaga zdolności do kochania, która powinna być obecna już w życiu studenta i stanowić korzeń jego wszelkich działań. Zamiast tego w swoim życiu podąża on za starszymi, wyucza się nauki od nauczyciela, nie podążając za nim w powołaniu.

Bez żalu porzuca on społeczność, która wiąże go z innymi wytwórcami, a która swoją ogólną formę mogłaby wywieść wyłącznie z filozofii. Student powinien stać się raczej wytwórcą, filozofem i nauczycielem jednocześnie, zgodnie ze swoją istotową, określającą go naturą. To z niej wynika bowiem forma życia i wybór powołania. Społeczność twórców wszelkie studiowanie podnosi do rangi uniwersalności: w formie filozofii. Uniwersalności tej nie osiąga się, zadając prawnikowi pytania z literaturoznawstwa ani pytając lekarzy o kwestie prawnicze (czego próbują zresztą pewne grupy studentów), ale tylko wtedy, kiedy sama społeczność gwarantuje, że specjalistyczne studia (których mimo wszystko nie da się prowadzić, nie mając na względzie przyszłej profesji) i przygotowujące do nich szkoły oraz wspólnota uniwersytecka jako taka są twórczyniami i strażniczkami wspólnoty filozoficznej – ale nie tej, która sprowadza się do roztrząsań w ramach ograniczonej, naukowej, fachowej filozofii, tylko takiej, która stawia pytania metafizyczne, pytania Platona i Spinozy, romantyków i Nietzschego. To właśnie, a nie oprowadzanie po zakładach opieki, byłoby najgłębszym połączeniem powołania i życia, a przynajmniej powołania i życia głębokiego. Uchroniłoby ono też przed skostnieniem wiedzy w formie zwykłego nawarstwienia informacji. Uniwersytet, który komunikuje metodyczny stan wiedzy, ale też poszukuje wnikliwych, śmiałych, a przy tym precyzyjnych nowych metod, powinien więc zostać otoczony przez studencką wspólnotę, tak

jak ciemne fale ludowego tłumu otaczają pałac księcia, jako miejsce nieustającej duchowej rewolucji, gdzie po raz pierwszy sformułowane zostają pytania, które choć nieraz nieprecyzyjne, niejasne, sięgają jednak dalej i wynikają z głębszych przeczuć niż pytania, które stawia aktualna nauka. Studenci, w swej twórczej funkcji, winni być więc widziani jako transformatorzy, którzy dzięki filozoficznemu ujęciu zdolni są nowe idee, pączkujące na polu sztuki i społecznego życia raczej niż na uniwersytetach, przekształcić w naukowe pytania.

Utajona tyrania idei zawodu nie jest jeszcze głównym z owych przekłamań, co do których żywi się słuszne obawy, że uderzają one w samo serce twórczego istnienia. Także banalny obraz życia zdolny jest zamienić ducha w swój własny surogat. Udaje się mu zawsze jeszcze szczelniej zawoalować niebezpieczeństwa życia duchowego, a kilku ostatnich wizjonerów wykpić jako fantastów. Głębszym problemem jeszcze jest to, jak bardzo nieświadome życie studentów pozostaje pod wpływem panujących konwencji erotycznych. Z siłą podobnej oczywistości, jak w przypadku ideologii zawodowej profesjonalizacji, która pęta intelektualne sumienie, wyobrażenia na temat małżeństwa i idea rodziny związują Erosa swym mrocznym konwenansem. Ducha tego próżno szukać w wydrażonym i bezkształtnym okresie zawieszenia, w epoce, która rozciąga się między życiem syna a życiem ojca rodziny. Dopóki niepodzielnie panuje milczące oczekiwanie na małżeństwo, oczekiwanie będące pozbawionym prawomocności okresem przejściowym, w którym jedynym, co można wznosić, są bariery odgradzające od pokus, dopóty pytanie o możliwe połączenie twórczości i prokreacji i o to, czy ich jedność da się pogodzić z formą rodziny nie może być nawet właściwie postawione. Jeśli istniałaby jakakolwiek wspólnota, zdolna dostrzec i obronić to, co nazwać można Erosem twórczym, to powinna nią być właśnie wspólnota studiujących. Ale nawet tam, gdzie nieobecne były zewnętrzne uwarunkowania narzucane przez burżuazję, tam, gdzie wszelkie plany zakładania rodziny nie wchodziły w ogóle w rachubę, gdzie, jak w wielu miastach Europy, ekonomiczna egzystencja ogromnej masy kobiet fundowana była za pieniądze studiujących – przez prostytutkę – nawet tam student okazał się niezdolny postawić pytania o Erosa, który byłby mu właściwym i własnym. Nie mógł jednak nie głowić się, czy prokreacja i twórczość powinny pozostawać sferami oddzielonymi, czy pierwsza podlegać powinna rodzinie, a druga urzędowi, czy nie powinny one raczej wynikać z jakichś form istnienia, które byłyby im swoiste. I jakkolwiek bolesne i upokarzające jest stawiać studenta przed takim pytaniem, musi się tak stać, ponieważ właśnie w jego życiu te dwa bieguny egzystencji chronologicznie ze sobą sąsiadują. Dochodzimy tu do pytania, którego żadna społeczność nie może pozostawić nierozstrzygniętym, a na które mimo to, od czasów Greków i wczesnych chrześcijan, nie udało się odpowiedzieć żadnej z nich. To pytanie, które ciążyło zawsze na wielkich twórcach: jak w sposób satysfakcjonujący pogodzić ideał człowieczeństwa ze wspólnotą z kobietami i dziećmi, których produktywność jest innego typu. Grecy, jak wiemy, rozwiązali ten problem w sposób siłowy: prokreację podporządkowali twórczości, z której



wykluczone były kobiety i dzieci – doprowadziło to ich państwa do ruiny. Chrześcijanie zaproponowali inne rozwiązanie dla swojego *civitas dei*: odmawia ono jednostce dostępu do którejkolwiek z tych sfer. Nawet najbardziej postępowi ze studentów w swych kontaktach ze współstudentkami nie potrafili wykroczyć poza niekończącą się estetyzującą konwersację o komraderii i nigdy nie porzucili wiary w możliwość „zdrowej neutralizacji” tego, co erotyczne, zarówno u mężczyzn, jak i kobiet. Faktycznie zaś tylko dzięki pomocy prostytutek udało się studentom tę neutralizację osiągnąć. A gdzie się nie udało, tam zastępowała ją nieco chwiejna nieszkodliwość i duszna wesółkowość, z jakimi studenci pozdrawiają z daleka koleżanki, które, wciąż swobodnym krokiem, zmierzają już w ślady swych starych i nieładnych nauczycielek. Narzuca się tu uwaga o charakterze ogólnym: o ileż bardziej czujne są instynktowne obawy Kościoła katolickiego przed mocą i koniecznościami Erosa od tych, które podziela burżuazja. Ogromne zadanie szkolnictwa wyższego pozostaje jednak wciąż zasłonięte, poplątane i zafalszowane, choć jest większe niż suma tych niezliczonych problemów, z jakimi zmagają się przedsiębiorcze społeczeństwo. Oto owo zadanie: odbudować jedność duchowego życia, rozbitego i skompromitowanego, zarówno jako niezależna twórczość (w bractwach studenckich), jak i jako nieskrępowana, naturalna siła (w prostytutce), którego smutny widok przywodzi na myśl roztrzaskany tors Erosa. Konieczność twórczej niezależności i konieczne włączenie – przez miłość – do tej samej wspólnoty twórców także kobiet, których produktywność jest inna niż ta zdefiniowana przez mężczyzn – to program, jakiego spełnienia zasadnie można od studentów wymagać, wynika on bowiem z samej formy ich życia. Mordercza konwencja obowiązuje tu jednak tak ściśle, że studenci jeszcze nigdy nie zdobyli się nawet na wyznanie swojego długu wobec prostytutek. Sprawiała ona także, że uwierzono, iż tę bezkresną, przeklętą i spustoszoną sferę da się opanować za pomocą pruderyjnych poleceń, bo także i tu nikomu nie wystarczyło odwagi, by wejrzeć w piękno własnego Erosa. To okaleczenie młodzieży sięga jednak tak głęboko, że należałoby o nim powiedzieć dużo więcej. Powierzmy to świadomości myślicieli i zdecydowaniu odważnych; istnienie tej kwestii jest jednak poza wszelką dyskusją.

Jak młodzież widzieć musi samą siebie, jaki nosić musi w sobie swój własny obraz, że pozwala na takie zaciemnienie swej właściwej idei i na takie wypaczenie treści własnego życia? Obraz ten zawdzięcza ona głównie działalności bractw; pozostaje on wciąż najbardziej rzucającą się w oczy podstawą studenckiego pojęcia młodości, w odpowiedzi na które inne organizacje, na czele z wolnymi związkami, szafują swoimi społecznymi sloganami. Niemieccy studenci, w mniejszym lub większym stopniu powodowani są obsesją, że muszą „wykorzystać swą młodość”. Całkowicie irracjonalny okres oczekiwania na urząd i małżeństwo trzeba przecież zapchać jakąś treścią i najlepiej, żeby było to coś zabawowego, pseudo-romantycznego i skutecznie wypełniającego czas. W słynnych wesółych studenckich przyśpiewkach da się słyszeć budzące strach echo. Jest to strach przed tym, co nadchodzi, i jednocześnie

uspokajające paktowanie z nieuchronną przyszłością filistra, która, jak lubi się wierzyć, upodobni ich do ich „starych druhów”. Sprzedawszy duszę, podobnie jak stan cywilny i zawód, burżuazji, studenci za nic nie oddadzą tylko tych kilku lat mieszczańskiej bez troski. Wymiany tej dokonuje się właśnie w imię młodości. Otwarcie lub w sekrecie, w knajpach lub podczas ogłuszających dyskusji na zebraniach, przygotowują sobie słono opłacony stan upojenia, prawa do którego nikt im nie odmówi. Ostatnie próby zainspirowania studentów wyższymi ideałami rozbiły się właśnie o tę świadomość przegranej młodości i sprzedanej starości, która nie pragnie niczego poza spokojem. W ten sam sposób, w jaki życie takie zamienia każdą rzeczywistość w kpinę, zostaje w zamian ukarane przez wszystkie duchowe i naturalne władze, przez naukę za pośrednictwem państwa, przez Erosa za pośrednictwem prostytutki i przez siejącą zniszczenie naturę. Studenci nie są więc wcale najmłodszym pokoleniem, ale tymi, którzy zaczęli już się starzeć. Aktem heroizmu tych, którzy stracili lata swej młodości w niemieckich szkołach, obiecujących im właściwe młodzieńcze życie, jest dostrzeżenie, że było ono tylko oszustwem, którego demaskację odwlekano z roku na rok. Mimo to jednak faktem pozostaje, że tworzący, czyli starzejący się i samotni, muszą istnieć – żyje już bowiem nowe, dorodne pokolenie dzieci i młodzieży, któremu przysłużyć się oni mogą jedynie jako nauczyciele. Ze wszystkich uczuć to jest im najbardziej obce. Właśnie dlatego nie są gotowi od początku żyć z dziećmi – czyli, tym samym, być ich nauczycielami – dzieci bowiem nie wkroczyły jeszcze w sferę samotności. Nie uznając ich wieku, stają się gnuśni. Przyznanie się do tęsknoty za pięknym dzieciństwem i wartościową młodością jest warunkiem wstępnym twórczości. Bez takiego przyznania, bez żalu za utraconą wielkością niemożliwe jest, by studenci zdołali odnowić swoje życie. Ich strach przed samotnością to strach przed poddaniem samych siebie – stoi on także za ich niemożliwością erotycznego oddania. Miarę dla samych siebie znajdują porównując się z ojcami, a nie z potomnością – tylko w ten sposób ocalają iluzoryczne przekonanie, że istotnie są młodzi. Ich przyjaźnie pozbawione są wielkości i samotności. W życiu studentów nie ma miejsca na ekspansywną przyjaźń twórczych umysłów, z ich poczuciem nieskończoności i troską o ludzkość jako całość, czy to przy rozmowach w cztery oczy, czy to w tęsknym odosobnieniu. Zamiast tego jest tylko fraternizujące „socjalizowanie się”, nieokielznane, ale niewykraczające nigdy poza to, co własne. Pozostaje ono takim, niezależnie od tego, czy studenci piją w barach, czy zakładają związki w kafeteriach. Wszystkie te instytucje są tylko targowiskiem tego, co preliminarne i prowizoryczne, jak studencka krzątania w czytelnich i bufetach – służą jedynie temu, by wypełnić pusty czas oczekiwania i zagłuszać głos dopominający się od nich innego życia, którego ducha stanowiłoby zjednoczenie Erosa, twórczego działania i młodości. Istnieje jednak młodość czysta i wstrzemięźliwa, z szacunkiem myśląca o tych, którzy nadejdą, a o jej istnieniu poświadczają choćby te wersy z wiersza Stefana Georgego:

Twórcy krągłych strof i błyskotliwych  
dialogów układacze: czas i dystans  
Pozwalają mi wyryc w mej pamięci  
Obraz dawnego wroga – czyn tak samo!  
Wszak na szali ekstazy i zatrucia  
Oboje idziemy w dół. Nigdy więcej  
Młodzieńczy splendor tak mi już nie schlebi  
Nigdy nie zagrzmią tak w twych uszach wiersze

Brak odwagi sprawił, że życie studentów dalekie jest od możliwości podobnych rozpoznań. Nakazy, które obowiązują w życiu twórczym, określają tak naprawdę każdą formę życia, wraz z charakteryzującym ją rytmem. Tak długo jednak, jak długo życie próbuje uchylać się przed nimi, tak długo samo na siebie sprowadza karę brzydoty i razi poczuciem beznadziei serca nawet najbardziej nieczulych. Stawką jest tu coś, co choć konieczne, najbardziej jest dziś zagrożone i tym bardziej wymaga zdecydowanego przeprowadzenia. Każdy bowiem, kto przed własnym życiem stawia najwyższe wymagania, nałoży nań tylko swoje własne nakazy. W teraźniejszej, wyobrażonej formie rozpozna on i wyzwoli z niej to, co przyszłe.

(1915)

*Przełożył Jędrzej Brzeziński  
Przekład przejrzał Mikołaj Ratajczak*

**Walter Benjamin** (1892-1940) – niemiecki krytyk literacki, eseista, tłumacz i filozof żydowskiego pochodzenia. Urodzony w Berlinie, w związku z dojściem do władzy nazistów został zmuszony do opuszczenia ojczyzny. Resztę życia spędził na emigracji. Zmarł w Portbou, uciekając z zajętej przez nazistów Francji.

**CYTOWANIE:** Benjamin, Walter. 2015. „Życie studentów.” *Praktyka Teoretyczna* 4(18): 177-188.

**DOI:** 10.14746/prt.2015.4.8

**AUTHOR:** Walter Benjamin

**TITLE:** The Life of Students

**ABSTRACT:** This essay, originally published in 1915, can be read as a summary of works composed during Walter Benjamin’s youth, from the period of living in Berlin and Freiburg. From both a metaphysical and historical perspective, Benjamin engages with the poverty of student life and the university under capitalism and bourgeois society. He offers a critique of the alienating functions of higher education in the forms of enforced professionalization, as well as the increasingly pronounced division of academic labor, in which the idea of the unity of knowledge disintegrates.

**KEYWORDS:** university, student as producer, bourgeois society, activism